

# BOCZNY TOR 201

na szybko / 26.11.2016





## OD REDAKCJI

Wypada się wytłumaczyć. Pomijamy numer 200. Ponieważ — z okazji.

W tym (201.) wydaniu jak zwykle, jak od lat i pierwszego numeru z grudnia 1997 zajmuje nas to, co oczywiste. Powtarzając słowa, znów kolejne strony donikąd...

Choć inspiruje nas daremność pisania, nie oddalibyśmy życia za literaturę.

Sporo go już jednak przeszło na boczny tor. Cóż zrobić. Mimo że świat pozostanie nieopisany, nie chcemy zapomnieć, jak piekły policzki, gdy się kiedyś czytało czterdzieści jeden razy powtórzone przez Stachurę: „Przystępuję do ciebie”. To właśnie trochę tak.



## **WIERSZYK O SOBOCIE PRZED NIEDZIELĄ**

No więc wyszedłem wczoraj do ludzi.  
Że wracam do siebie smutniejszy, nie przyznam:  
może nie wracam, może wcale nie wychodziłem,  
może niczego już nie rozumiem, niczego wcześniej  
nie zrozumiałem, a teraz jest po prostu później  
i nawet najzwyczajniejsze słowa nie prowadzą  
na ziemię, póki niebo zawieszono ciemne.

Stawiam czajnik na gaz, nastawiam się na jutro.  
Wczoraj było, jest sobota przed niedzielą,  
wiem nie od dziś: nie dzieli się przez zero,  
potrzeba puenty jest większa niż szczerłość.

## **RADIOWA PROGNOZA POGODY**

„Kto spodziewa się dziś słońca, może się rozczarować”.  
Może?



## **KALENDARZ ZDARZEŃ**

Kartka z notatnika, wyrwana i bez daty, nie wiadomo kiedy zapisane: „Po drodze. Idę”. Skąd, dokąd, po co? A poza tym dziesiątki zdjęć dodających się z automatu do niezapamiętanych dni, z konkretną godziną i co do minuty, która wchłonęła tych parę sekund zatrzymania gdzieś pośród w trakcie.

## **POTKNIĘCIE**

Mokry asfalt. Słońce.  
Dzień zapowiada się z wizytą,  
lecz nie ma mnie w domu,  
jestem poza domem.  
Zaspane oczy aut.

**Sándor Márai**

## **LISTOPAD**

Młodość marzy i nie wie nic pewnego o porach roku. Dla niej zmieniają się jedynie dekoracje, rekwizyty promiennej gry, jaką jest życie. Rok postrzega tak samo jak sztukę w czterech aktach. Kiedy uczucie życia właściwe młodości powoli zanika, zaczynamy czule obserwować zewnętrzną zmianę: w listopadzie nie tylko nasza skóra jest wrażliwa, lecz także nasza dusza. Dzieje się coś, co niepokoi. W owe dni wchodzimy w zimę tak, jakby naprawdę jakieś ponure sagi budziły się do życia. Zima jest równocześnie ciągiem legend i jaskinią, trochę chorobą i trochę tym, co zwie się *urbanitas*, w tym samym czasie są w niej foki i morsy, zagraniczni śpiewacy odbywający tournée i dyplomowani odśnieżacze jezdni i chodników, jest w niej gorący rumianek i grzane piwo, jest w niej zapierające dech, ściskające gardło oczekiwanie, jakbyśmy w całym świecie zostali zdani na siebie samych, sami ze swym losem, który jest pokryty szronem





i ponury. Przede wszystkim — i nade wszystko — marzniemy. Niczym mieszkańcy średniowiecznego miasta, którzy nieoczekiwanie zostali zaatakowani i gorączkowo, nieco spanikowani, przygotowują się do obrony: sprowadzamy węgiel, wietrzymy ciepłe ubrania, zakładamy zimowe kostiumy, czegoś się boimy. Nie tylko zimna. W naszych snach od czasu do czasu zaświta jeszcze pewne straszliwe przeżycie, wspomnienie epoki lodowcowej. W czasach naszego dzieciństwa chętnie kartkowaliśmy ozdobioną kolorowymi ilustracjami książkę, której tytuł brzmiał *Radość zimy*. Na obrazkach był jeżdżący na łyżwach biało-różowy dziadunio w cylindrze, niczym pomyłony bałwan, wszędzie rozlegały się dzwonki u sań, ośnieżone drzewa w fioletowych lśnieniach stały w zmierzchającym, zimnym słonecznym blasku. To wszystko przeminęło. Zimy i lata nauczyły nas, że zima nie ma żadnych „radości”, że nie ma innego, prawdziwego życia, jest tylko ta dzika i pogańska radość, która zagarnia wszystko, co żyje, gdy pada na to światło. W listopadzie zaczynam żyć w poczuciu jakiejś zniewagi. Zaczynają się literackie odczyty, które mnie nudzą. Zaczyna się to ciche, niby



sanatorium, życie we własnym domu, kiedy budzimy się o szarym, oślizłym poranku, jak w czasie choroby, zaczyna się pora sztucznego światła i sztucznego ogrzewania. Zima już mnie nie cieszy, to tylko młodość umie się radować tym barbarzyńskim świętem. Nie chodzę na świniobicie, ponieważ mój żołądek tego nie wytrzyma, na bale nie chodzę, ponieważ jestem otyły i samotny, nie umiem jeździć na łyżwach, podczas jazdy na nartach wszyscy łamią sobie piszczele. Pozostaje mi literatura, zadymiona kawiarnia, gdzie już przed południem jest ciemno, gruba odzież i zapalenie oskrzeli. Wszystko to wąta radość.

W pokoju napalono, stoję przy piecu w kiepskim nastroju, jak więzień, który rozpoczyna odsiadkę. Dostaliśmy pięć miesięcy. Może wytrzymamy.

Sándor Márai, *Cztery pory roku* (1938),  
przeł. Feliks Netz, Czytelnik, W-wa 2015, s. 241–242



## UWAŻAJ, CO CZYTASZ!

Między postaciami rysuje się pewna dwuznaczność: ich losy to odrębne, niesplatające się ze sobą wątki niedokończonej powieści, opisy ich przeżyć i stanów nie są na tych samych stronach, te historie nawet nie sąsiadują kartka po kartce — nie sposób określić, czy jest coś, co łączy bohaterów, poza pojawieniem się w powieści, która nie ma dalszego ciągu, a w słowach ukrytych jest tak wiele znaczeń, że zapewne niewiele znaczą. A jednak (niejasne są intencje nieznanego autora) postaciom zdarzyło się przyśnić się sobie nawzajem.

Minęło tymczasem.

— Nigdy ci tego nie powiem, że wracam myślami. Najgorzej na świecie teraz robię, mówiąc ci o tym, bo wiem, że nie lubisz słowa „nigdy”. Nie mam nic więcej w swojej postaci jak tylko to głupie uczucie. To dlatego tak błędzę po tym rozdziale i nie ruszam dalej, bo pamiętam to uczucie, ale nie potrafię go dzisiaj dopasować ani ciębie, ani do siebie.

## **WIERSZYK OD A.**

Nic nie pisać. Nic nie pisać. Nie pisać.  
Nie patrzeć. Nie patrzeć. Nie patrzeć.  
Nie myśleć. Nie wyobrażać sobie.  
Wyobrażać siebie. Nie obrażać się,  
Czuć nienawiść do przegranych poetów,  
zdobywców świata. Forever.

## **GORZKA CZEKOLADA**

— A co ty chciałbyś, co?

Pięć słów donikąd i z powrotem.

Co bym chciał, to moje.

Od ciebie — ciebie.

Żebyś się roztopiła.

## KOBIETY TO ZNAJĄ

Po dniu, przedmowie nocy, o lekki sen  
pod ciężką powieką, sen bez pamięci i fabuł,  
jak dmuchawca zgon błahy na wietrze —  
powiewny, lecz nieprzeszywający, ciepły  
jak w Marrakeszu lub jak zanurzenie po szyję  
u gorących źródeł wśród islandzkich pustkowi,  
lecz żeby tam nie wracać, zaznać go tu, teraz,  
za chwilę, gdy zmorzy po dniu, tym krótkim  
wstępie do nocy — o taki sen nie muszę prosić,  
daję go sobie w prezencie: trzy... dwa... jeden...  
twój szept.

**ZŁY WIERSZYK O TYM,  
ŻE LISTOPAD DOPADA  
RÓWNIEŻ SWOICH  
WIELBICIELI**

Dzień do bladej dupy  
po całości do dupy  
zalegam sobą struty  
uwierają nawet  
niewyjęte z szafki buty.

**SKĄD SIĘ BIORĄ  
SPÓŹNIENIA DO PRACY**

Znów garść przygarbionych ujęć  
pod światło. Nieuchwytnie na tle.  
Listopad przydrożny z gruntu.  
Arabeski źdźbeł. Takie tam srutu-  
-tutu serce z drutu. Badyle i tyle.  
Mgła psuje się od słońca.



## FRASZKI POCIĄGOWE

### Na NIE

Nie nadużywać słowa: nie!  
Bo się przylepi i zostanie  
jako odpowiedź i własne zdanie.

### Na TAK

Nie nadużywać słowa: tak!  
Bo się przylepi jak kłak  
i zostanie tylko potakiwanie.

### Na MOŻE

Nie nadużywać słowa: może...  
Bo raz lepiej, a dwa — gorzej.

### Na CHYBA

Nie nadużywać słowa: chyba.  
Bo rak to nie ryba.





Na  
**Zielonym**

DAJESZ  
PRZYKŁAD  
DZIECIOM

FUNDACJA  
KIEROWCY DZIECIOM



Zielonym  
  
DZIECIOM

## **PRZECHADZKA Z SYNEM**

- Tato, jeszcze ci się nie znudziło?
- Wiesz, mógłbym jak Noriaki robić swoje nalepki...
- Chciałoby ci się chodzić po całym mieście?
- No, tak... Mój czas się kończy.
- Nie, nieprawda! Już się skończył.

## **ROZMYŚLANIA PODCZAS PAKOWANIA KANAPEK DO ŚNIADANIÓWKI**

Odrabiam życie w literaturze. Czytaniem.  
Z poezji to wciąż tylko wiersz na pamięć,  
wers po wersie powtarzany, wypadające  
z głowy słowa. Urwane dialogi stają się  
za łatwo monologiem wewnętrznym.  
— Wstań już, bo się spóźnisz.

